

## Marzyć albo umrzeć

Gordon Bietz

Kościół, w którym umrze ostatnie marzenie można już tylko pogrzebać. Kościół Adwentystów Dnia Siódmego stoi dziś na skrzyżowaniu dróg między wspomnieniami przeszłości a marzeniem o przyszłości. Jest to więc czas, w którym musimy zdecydować czy pogrzebiemy się sami w legalizmie, czy zatracimy w konformizmie lub też czy razem snuć i przeżywać będziemy marzenia, które nas doprowadza do obiecującej przyszłości.

Parafrazując Dickensa: To jest najlepszy z czasów, ale i najgorszy z czasów. Wiek mądrości, ale i wiek głupoty. Epoka wiary i zarazem epoka niewiary. Pora światła i pora ciemności. Wiosna nadziei i zima rozpacz. Stoimy w punkcie, w którym musimy wyznaczyć na przyszłość kierunek naszego Kościoła. Czy przyszłość przyniesie nam lata najgorsze czy najlepsze z możliwych? Badania socjologiczne ruchów religijnych wskazują, że stojąc na tym rozdrożu mamy przed sobą tylko te dwie możliwości, a obie są złe.

Im bardziej organizacje religijne oddalają się od swoich założycieli, tym bardziej podchodzą one do punktu, w którym nie uda się im uniknąć walki między tymi, którzy pragną podtrzymać żar dawnej świetności przez uściślanie zasad prawnych i teologicznych (legalizm) a tymi, którzy godzą się na utratę swej tożsamości lub swobodnie utożsamiają się ze światem (konformizm).

Legalizm jest pułapka, która uniemożliwia Kościołowi głoszenie Ewangelii światu. Zachowując formy tradycje przeszłości staje się on "zmyślną klatką przepisów, za pomocą których wierni pragną bezpiecznie uchronić swój skarb. Jednakże klatka ta zamyka się i zamyka, a skarb wymyka i oddala".

Konformizm nie jest bynajmniej drogą lepszą. Wprawdzie wie on, że istoty Kościoła nie da się zachować za pomocą przepisów i reguł lub przez skoncentrowanie się na szczegółach doktrynalnych, ale cena ucieczki z klatki legalizmu jest utratą tożsamości. Zanika żar wewnętrzny i duch poświęcenia, które wykształciły odmienność stylu życia danej wspólnoty, czego wynikiem staje się obniżenie wymagań i zaangażowania. Legalizm stara się zachować z Kościoła choćby tylko formę, konformizm - skupiając się na wolności jednostki - zatracą tożsamość Kościoła w ogóle. Dół, w który można wpaść po jednej stronie wcale nie jest lepszy od dołu, po drugiej.

Fakt, że Kościół ADS znalazł się już w tym właśnie punkcie widać w polaryzacji, przy okazji niektórych dyskusji doktrynalnych. Możemy jednak niejednego nauczyć się od innych ruchów religijnych, które już odpowiedniego wyboru dokonały. Przyjrzyjmy się najpierw tym wspólnotom, które wybrały drogę legalizmu.

Ubiegłej jesieni byłem z rodziną w górach Smokines, gdzie podziwialiśmy kolory przyrody.

Natknęliśmy się tam na ludzi ze wspólnoty religijnej Amish, którzy robili wrażenie, jakby żyli w połowie ubiegłego wieku. Zabiegając o swą tożsamość tak dalece odgradzili się od świata, że obecnie nie mają nań żadnego wpływu. Dla ochrony czystości swego Kościoła praktykują oni rygorystycznie "wyłączanie" i unikanie obcych. Być może czytaliście o przypadku farmera Roberta Bear'a, który został wyłączony przez swój Reformowany Kościół Mennonitów. Żona i sześcioro jego dzieci wyprowadziło się z jego domu, a cała gmina mennonicka odmówiła wszelkiego z nim kontaktu. Nie trzeba dodawać, że to załamało tego człowieka, który nazwał swe życie "piekłem na ziemi".

Oprócz wyłączenia Amisze rozwinęli także Ordnung, czyli "reguły życia" dla ochrony ich Kościoła przed wpływami z zewnątrz. Dla przykładu: "Żadnych błyskotek, zdobnych wykończeń, nieskromnego stroju z materiału podobnego do jedwabiu, ani wszelkiego zbytku w ubiorze. Zabronione są takie kolory jak: czerwony, pomarańczowy, żółty i różowy... Kapelusz ma być czarny, rondo najwyżej na trzy cale, a stożek niewysoki. Oczywiście bez żadnych ozdób. Bez spodni prasowanych na kant. Żadnych swetrów... Mężczyźni i chłopcy po chrzcie winni nosić pełny zarost... Żadnych dekoracji wewnątrz ani na zewnątrz budynków... Nie wolno używać gazu z butli ani urządzeń elektrycznych z linii przesyłowych. Nowo kupowane piece kuchenne winny być czarne" (John A. Hostetler, Amish Society, s. 58,60).

Amisze z pewnością zachowali swoją tożsamość, ale dla świata są oni raczej kuriozalną ciekawostką niż żywym świadectwem wiary. W swym pragnieniu zachowania tożsamości zamknęli się oni w XIX-wiecznej kapsułce.

Inna wspólnota, wyrosła z żaru i ewangelicznej gorliwości są Kwakrzy. Ich posłanie napotkało na gniew motłochu i prześladowania, doznali więzień i męczeństwa. W miarę upływu czasu dołączyli się do nich inni, rodziły się dzieci. Ewangeliczny żar i poświęcenie strąciły swoją siłę. Ci, którzy pamiętali dawne czasy zaczęli się zastanawiać, jak uchronić pierwotny entuzjizm. Ich reakcja na zagrożenie przyszłości były ogólnie uznane chrześcijańskie zasady życia i wprowadzenie ich w takich detalach, że odgradziło to ich od zewnętrznego świata. Ustalono drobiazgowo szczegóły stroju, a nawet to czy kamienie nagrobne winny leżeć czy stać!

Podobnie postępowali Żydzi w czasach Chrystusa, którzy próbowali zachować marzenie Abrahama w talmudycznym legalizmie. Drogę sabatu mierzyli stopami i szczegółowo określali, z jaką szybkością można było iść. Jednak udowodnili oni jedynie, że próby zachowania religijnego żaru przy pomocy przepisów prawnych są zupełnie nieskuteczne.

Historia Kościoła chrześcijańskiego idzie inną drogą - drogą adaptacji. Odkąd Kościół stał się światu strawny i stał się instytucją, zaczął się też do świata przystosowywać, aż wreszcie uszedł zeń wszelki żar. W czasach średniowiecza Kościół był bardziej świecki niż religijny. Proces zeświecczenia Kościoła ma naturę powracającą. Ożywienie wesleyańskie, jakie przeszło przez Anglię z wielkim ogniem i entuzjazmem, zrodziło metodyzm. Myślę, że dziś Wesley nie poznałby Kościoła, jaki założył. Ruch Lutera, który zapoczątkował Rewolucję Protestancką przekształcił się w luteranizm. Ciekawe, jaką teraz rewolucję wniósłby Luter do Kościoła, który sam założył?

Którędy ma więc pójść Kościół? Czy pójdziemy drogą wiodącą do legalistycznej kolacji, gdzie

staliśmy się po prostu pieczołowicie zachowanym reliktem przeszłości, żyjącym anachronizmem? Czy też podążymy drogą ugodowego pluralizmu, w którym zatraćilibyśmy naszą tożsamość i zostalibyśmy całkowicie wchłonięci przez świat. Czy nie ma innego wyboru? Jakiejś innej drogi?

L. A. King pisze: "Żadne z dzisiejszych wyznań... nie zachowało swej wyrazistości i mocy. Kolejnym pokoleniom jest coraz trudniej odtwarzać żywotność pierwotnych przeżyć, i w ten sposób później nawróceni mają coraz mniej pierwotnego poświęcenia... Defensywny izolacjonizm zachowuje formę, ale ztraca żywą moc czynu. Zwiotczała ugodowość, która jest przypadkiem najczęstszym - sprawia, że dane wyznanie traci swą wyrazistość i moc oddziaływania" (Legalism or Premissivewness" An inescapable dilemma?). Czy i nasz Kościół musi pójść jedną z tych dróg? Módl się, by tak się nie stało.

Wielu z nas wiele skorzystało z historii małego Samuela, który pracował przy świątyni jerozolimskiej dla kapłana Heliego. "A słowo Pańskie było rzadkie w one dni i nie było częstego widzenia" (1 Sm 3,1). Myślę, że warunki na początku urzędu Samuela opisują też dobrze sytuację, w jakiej obecnie znajduje się i nasz Kościół. Jest to oczywiście gotowa historyjka dla dzieci. Mały Samuel słyszy głos Boga, który go wzywa. Bierze to za głos Heliego i przybiega do niego kilkakrotnie, aż wreszcie Heli, zmiarkowawszy o co chodzi, każe mu odpowiedzieć "Mów Panie, bo sługa Twój słucha" (wiersz 9). I Samuel doznaje widzenia, ponieważ słucha, słucha słowa Bożego.

Heli otrzymał przedtem różne polecenia od Boga dotyczące jego synów. Ale Heli właściwie nie słuchał. Być może uległ on sprzeczności swoich czasów. Być może sądził, że jest za późno, aby się zmienił. Tak czy inaczej Heli nie słuchał. Nie czynił bowiem tego, co wiedział.

Samuel jednak posłuchał. "Mów Panie, bo sługa Twój słucha". Dziś musimy być także przygotowani na otrzymanie widzenia od Boga. Dziś jest czas, kiedy wsłuchujemy się w nasze marzenie. Aby uniknąć skrajności dróg: ugodowego pluralizmu lub legalistycznej izolacji musimy na nowo marzyć.

Robert Dale twierdzi, że wszelkie ruchy osiągają swą ostatnią fazę z chwilą, gdy przestają się koncentrować na swoich marzeniach, a poddają się nostalgicznej tęsknocie za tym, co było przedtem. Zdrowy Kościół rodzi się z marzeń. Chory Kościół woli prostotę dnia wczorajszego od niepewności dnia jutrzejszego. Kościół, który przed jutrem broni się opowieściami typu "Pamiętam jak to..." i wspomina złoty wiek, sygnalizuje, że zaczął tracić swą wiarę w przyszłość. Zdrowy Kościół wspiera i odnawia się przez swe marzenie. Kościół chory powątpiewa i kwestionuje, podążając ku organizacyjnemu obumieraniu. W swym ostatnim orędziu do Generalnej Konferencji, jakie pastor Robert Pierson wygłosił jako jej przewodniczący, wezwał on, aby w jakiś sposób uniknąć przeistaczania się ruchu adwentystycznego w maszynę, uniknąć - zda się nieuniknionego - procesu przechodzenia z marzeń i snów pierwszego pokolenia do instytucji kościelnej czwartego już pokolenia adwentystów; instytucji, która jest skłonna w biurokratyczny sposób próbować zakonserwować formy zrodzone w ferworze dni wczorajszych.

Czas zacząć marzyć na nowo. Wśród ludu Bożego ponownie musi powstać marzenie. Marzenie, które obejmie istotę ruchu adwentowego. Przyszłość naszego Kościoła odnajdzie się

nie w absolutnej doktrynalnej czystości, ale w poruszeniu Duchem Bożym, wtedy, gdy lud podąży za swym marzeniem. Wątpię czy ktoś, kto zechciałby przestudiować historię wczesnego chrześcijaństwa pod kątem doktrynalnej czystości byłby nią zbudowany. Piotr nie zawsze rozumiał Pawła, a chrześcijanie "z Żydów" mieli wiele odmiennych poglądów od chrześcijan "z pogan". Jednak wszystkich ich ożywiała wizja, marzenie, jakie przekazał im Chrystus. Tym marzeniem było głoszenie światu dobrej nowiny, i w tym wysiłku wszyscy oni byli jedno w Chrystusie.

Gdyby dokonać studiów czystości doktrynalnej wczesnego Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego, można by znaleźć wiele odmiennych poglądów. Stanowili oni jednak jedno w nowinie, jaką chcieli przekazać światu. Był to ruch ożywienia wizja, ruch, który miał odwagę marzyć. Nowina adwentowa nie była nauczycielskim zanudzaniem, ani wspominkami dawnych czasów. Przesłanie adwentyzmu to nie skodyfikowane zasady wiary z kościelnego podręcznika. Przesłaniem tym było realne życie jego wyznawców!

Jedność? Tak, oni byli jedno, ale nie jedni tą jednością, która pochodzi z formalnego potwierdzenia zasad wiary. Nie jednością ujętą w paragrafy teologii systematycznej. Oni byli jedno jednością marzeń! Czas znów powrócić do marzeń, do wizji i poświęcenia, jakie mieli ci, którzy założyli nasz Kościół.. Marzyć tak, jak Joseph Bates. Joseph Bates marzył, aby opublikować prawdy, które odkrył niedawno, toteż w maju 1846 roku przygotował on 40-stronicowy traktat pt. "The Opening Heavens" (Otwarcie Niebios). Pieniądze na opublikowanie dostarczyła pewna kobieta-adwentystka, która sprzedała na ten cel utkany przez siebie dywan.

Czas marzyć na nowo tak, jak J.N. Loughborough. Od 20 roku życia był on kaznodzieją niedzielnym przez trzy lata. Kiedy jednak połączył się z sabatarianami, odbył objazdową misję kaznodziejską w towarzystwie Hiram Edsona, a następnie działał przy zakładaniu wspólnot adwentystycznych w Kalifornii i Anglii.

Marzyć jak Uriah Smith, który w wieku 21 lat podjął prace w redakcji "Przeglądu" w Rochester w stanie Nowy Jork, gdzie zaczęto publikować jego poemat pt. "Głos przestrogi czasu i prorocтва" liczący 35 tysięcy słów. Drukarnia nie miała należytych narzędzi i Smith okaleczył sobie ręce składając matryce scyzorykiem. Smith powiedział, że traktaty teologiczne, które tam publikowano były bardziej kanciaste niż stronicze gazety.

Marzyć, jak Stephen Haskell, który kazanie na temat Drugiego Adwentu usłyszał mając 19 lat i tak był tym wstrząśnięty, że opowiadał o tym każdemu, kogo napotkał. Jeden z przyjaciół zachęcił go do wygłoszenia kazania samemu i Haskell w żartach obiecał, o ile ów przyjaciel zapewni mu sale i publiczność. Przyjaciel obietnicy dotrzymał i Haskell został złapany za słowo. Wkrótce też zaczął głosić kazania jako wolontariusz, utrzymując się w dalszym ciągu ze sprzedaży mydła, które sam wyrabiał.

Czas nie pozwala nam opowiedzieć o James i Ellen White, J. N. Andrewsie i wielu innych, których porwało marzenie ruchu głoszenia radosnej nowiny umierającemu światu. Ich pracy nie możemy już powtórzyć. Nie powinniśmy się nawet starać naśladować ich dokładnie, bo i czasy się zmieniły. Ale musimy ponownie marzyć tak, jak oni marzyli.

Największy hymn Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego wciąż jeszcze nie został odśpiewany, a będziemy mieli okazję napisać do niego melodię jeśli się w nim rozmarzymy. Gdzież bowiem mogą dostrzec niewierzący dzisiejsze marzenie naszego Kościoła. Gdzież mogą oni przeczytać jednobrzmiące posłanie o wartości Chrystusowej ofiary, o obietnicy Przyjścia, o wartości przestrzegania sabatu i o obietnicy Ewangelii? Mogą je przeczytać w naszych pismach, ale czy mogą je dostrzec w naszym życiu?

Czyż w rzeczywistości większość ludzi świeckich nie opisałaby nas jako ludzi żyjących mniej więcej tak, jak inni, według tych samych zasad, dręczonych tymi samymi wątpliwościami, zagrożonych tymi samymi niebezpieczeństwami i tak samo bezradnych jak reszta?

Czas zacząć marzyć na nowo! Nasz Kościół, mając wieczną Ewangelię, ma z pewnością marzenie dla tych, którzy boją się atomowej zagłady. Głosząc wieść o rychłym Przyjściu Pana oferuje marzenie dla świata, w którym wyczerpały się już możliwości rozwiązań politycznych. Nasza koncepcja odpoczynku sobotniego jest ofertą dla świata pełnego stresu. Nasze pojmowanie Świątyni może być ofertą dla ludzi, którzy nie wiedzą, gdzie Bóg przebywa i co robi. Nasza koncepcja człowieka, jako szafarza Bożego dzieła stworzenia jest ofertą dla świata, który walczy z plagą głodu i ekologicznych koszmarów.

Czas odrzucić idee, że możemy zamknąć nasz Kościół w XIX-wiecznej kapsułce, zachowując formę bez żaru. Czas odrzucić idee, że wolno nam zniszczyć filary Kościoła i jego najgłębszą rację bytu, ulegając konformizmowi, który mierzy Kościoły według świata, a nie według Królestwa Bożego. Nasze pokolenie winno się przejąć marzeniem adwentyzmu, które zetnęło i wyblakło w miarę, jak zbyt wiele dnia upłynęło. Czas zacząć marzyć na nowo.

To marzenie przycichło w miarę, jak coraz to dalsze pokolenia rodziły się w Kościele nie doświadczając spełnienia się posłania. Czas zacząć marzyć na nowo.

To marzenie rozpuściło się w sporach nad niuansami doktrynalnymi. Czas je wznowić.

To marzenie zostało zachwiane decyzjami Kościoła, które podważyły zaufanie. Czas zacząć marzyć na nowo.

Marzyć o ludziach, których pożera pragnienie Słowa Bożego, a nie słów innych ludzi. Marzyć o nauce, która przemienia ludzkie zachowania, a nie tylko stanowić może przedmiot akademickich dyskusji. Marzyć o niewierzących, którzy w naszym życiu dostrzegają jednobrzmiące posłannictwo.

Czas zacząć marzyć na nowo. O ludziach, których wiara przekształciła. O Kościele przemienionym przez swe własne nauczanie. O Kościele, który wychodzi ze świata słysząc, jak świat się dziwi: "Patrzcie, jakże ci ludzie się kochają!"

Gordon Bietz jest pastorem Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego w stanie Tennessee, USA. (przekład z angielskiego: Bogusław Jeznach).

